

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (24)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobiecki

Ponieważ z czasem zaroilo się na półkach antykwarycznych od innych rzadkich książek, w końcu antykwariuszka puściła farbę. Że to poeta Sobkowiak. Jak ktoś mi zasugerował, Czesław z rodziną budował dom w Zawadzie i po prostu potrzebował pieniędzy. Tym sposobem zostałem sponsorem gniazda rodzinnego Czesława Sobkowiaka...

Nie pamiętam jednak Czesia z lat 70. z żadnych wspólnych imprez literackich, publikacji, spotkań. A na przykład Mietka Warszawskiego, owszem, widywałem np. na spotkaniach w ramach KKMP – Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Wynikało to chyba z prostej przyczyny, że Sobkowiak studiował polonistykę we Wrocławiu i tam spędzał czas na nauce, tam mieszkał, w domu zaś bywał podczas wakacji. Warszawski z kolei, który już wówczas pracował, po prostu pojawiał się w środowisku młodoliterackim, gdyż był „na miejscu” (choć precyzyjnie to „miejsce” oznacza jego małą ojczyznę – wieś Łaski Odrzańskie).

Gdy Czesiek wrócił do domu i szukał sobie miejsca w Zielonej Górze, mnie los rzucił na północny wschód kraju. Przemieszkalem, przepracowałem tam ponad jedenaście lat, choć z przerwami. Zatem mijaliśmy się, wiedząc o sobie. Dowodem choćby antologia poezji „Pieśń zostaje za nami”, którą do druku przygotował Sobkowiak, a ukazała się w 1991 r. kiedy to właściwie „siedziałem już na walizkach” i liczyłem przysłowiowe dni do przyjazdu do Zielonej Góry. Ale w kwestii opublikowania moich wierszy redaktor pisał do mnie jeszcze na wschód. Znalazłem jego list z 8 września 1991, w którym wyraźnie zaznacza, iż „pierwszy w życiu list, jaki do Ciebie piszę, piszę w sprawie bardzo ważnej”.

Nasze kontakty zacieśniły się, gdy zameldowałem się w pracy w „Gazecie Nowej”. Próbowałem na łamach poruszać m.in. sytuację życia literackiego na środkowym Nadodrzu wobec nowych wyzwań (przeprowadzona od-

górnie zmiana ustroju z socjalistycznego na kapitalistyczny). Zachęcałem Czesława do wypowiedzi, recenzji, publikacji. Coś napisał, ale niezbyt wiele razy jego nazwisko pojawiło się w „Gazecie Nowej”.

W tym też czasie – jak dla mnie pechowo – C. Sobkowiak wystąpił ze Związku Literatów Polskich i zapisał się do konkurencyjnego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Rzecz w tym, iż ZLP działa w Winnym Grodzie od 1961 r., ma tutaj swój oddział, członków, i realizuje różne pomysły. Wręcza Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza, organizuje debaty, konkursy literackie, wydaje książki. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich nie ma żadnych struktur i nie prowadzi żadnych działań. Czesiek znalazł się tym sposobem poza naturalnym środowiskiem pisarskim. Co nie znaczy, że nie jest zapraszany do udziału w wydarzeniach literackich i nie bywa na nich. Bywa, zabiera głos, wydaje książki, zdobywa nagrody, świętuje jubileusze. Ale przydałby się w ZLP ktoś taki – mający doświadczenie i znaczący dorobek – z głosem doradczym. Trudno, nie chciał...

A propos nagród. Gdzieś w 1993–94 roku Alfred Siatecki, jako ówczesny prezes oddziału ZLP, wymyślił Lubuski Wawrzyn Literacki. Miała to być nagroda za najlepszą książkę poetycką i prozatorską wydaną w regionie w roku poprzednim. Współorganizatorem wydarzenia została od początku biblioteka wojewódzka. Od zarania przyjęło się też, że będzie to główna, najbardziej prestiżowa nagroda dla literatów lubuskich. Znalazłem się w jury pierwszego Wawrzynu, wspólnie (chyba) z prof. Janem Kurowickim, Marią Wasik – dyrektorką biblioteki. A także kimś reprezentującym „Gazetę Lubuską”, Urząd Miejski i Marszałkowski. Niemal pewnikiem było – tak twierdził nie bez racji wybitny krytyk i poeta A. Waśkiewicz – że wszelkie laury literackie w regionie muszą przypaść Kurowickiemu, Warszawskiemu albo Sobkowiakowi. Bo piszą dzieła ponadprzeciętne, są najwybitniejsi. Tymczasem wyniki tajnych obrad jury pierwszego Wawrzynu okazały się zaskakujące. Wśród poetów wygrał nikomu w mieście nieznan autor – Krzysztof Fedorowicz. Kilka dni po ogłoszeniu wyników Czesław dopadł mnie na ulicy. Zdaje się, że nie mógł przeboleć tego Fedorowicza. – Ale jak to się stało? – dopytywał. – Jak rozłożyły się głosy? Wyłąłem się tajemnicą obrad, gdyż nie było sensu analizować na ulicy suwerennych w końcu decyzji jurorów i dzielić włosy na czworo. Po latach trzeba przyznać, iż jury miało rację, nagradzając K. Fedorowicza. Do tej pory zdobył łącznie aż trzy Wawrzyny. Sobkowiak tyle samo.

Czesława Sobkowiaka, jako się już rzekło, cenili niezwykle Andrzej Waśkiewicz. Był dla niego przykładem naturalnego i prawdziwego awansu kulturalnego młodego człowieka z wiejskimi korzeniami. Znalazło to odbicie chociażby w debiutanckim tomie „W białej koszuli”, ale i w drodze życiowej poety. Ten naturalizm... Rozmawialiśmy wielokrotnie z Andrzejem o „Horacym z Zawady”, jak go nazwała Maria Wasik, i wręcz zazdrość mnie ogarniała, iż mój przyjaciel nie mnie chwali, tylko Czesława. Lecz siedziałem cicho, bo Andrzej był niezwykle obiektywny i bez powodu nie rzucił jakichkolwiek opinii. Jako autor Sobkowiak

dość często współpracował ze mną na łamach „Komunikatów (Nadodrzańskich)”, które parę lat redagowałem. Pisywał recenzje, ale szczególnie lubiłem drukować (i czytać w innych czasopismach też) jego miniatury prozatorskie. Mądre, refleksyjne, ciepłe, niekiedy gorzkie zapiski. Potrafił skupić się na żdźbale trawy, porannym widoku z okna, polnym kamieniu zauważonym podczas spaceru latem. Mam nadzieję, że tego gatunku nie porzuci, gdyż wydaje się na tym gruncie naprawdę znakomitym autorem.

Wiem, że Czesław ma ze mną problem. Czytam to między wierszami w niektórych jego recenzjach moich książek. Szanuje pomysły, inicjatywy, ale nie do końca potrafi się zgodzić z wymową tekstów, takich czy innych, z postawą. Rzekłbym, iż nawet go to męczy – na swój sposób. Ale cóż zrobić, jedni wybierają metafizykę, etykę, inni racjonalizm, materializm, i z tym muszą żyć...

Czesław Sobkowiak, urodził się 3 maja 1950 roku w Jaromierzu (gmina Siedlec) w Wielkopolsce. Poeta, prozaik, krytyk literacki. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim. Mieszka w Zielonej Górze – Zawadzie.

Zbigniew Jerzyna

Pewnego razu w latach 70. – dziwne, ale było to w niedzielę – na ul. Ordynackiej 9 w Warszawie, czyli w siedzibie SZSP, odbywała się dyskusja redakcyjna na temat pokolenia Nowej Prywatności, z udziałem przedstawicieli tejże generacji. Tekst rozmowy, czyli wypowiedzi młodych poetów, krytyków, miał się ukazać w znanym i popularnym tygodniku studenckim „ITD”. Spotkanie prowadzili Andrzej K. Waśkiewicz i Jerzy Leszin. Przyjechałem do stolicy wraz z młodą krytyczką, studentką zielonogórskiej polonistyki, chyba pisującą już do „Faktora”, Małgorzatą Kowalską. Wystraszoną nieco, gdyż pierwszy raz była na tak poważnej debacie. Zanim dyskusja się rozpoczęła, zanim goście umościли się na krzesłach, podano kawę i herbatę, Gosia nieśmiało, niemal na ucho, pytała mnie o nazwiska przybyłych. – A ten facet z czerwoną napuchniętą gębą, to kto? – zapytała w pewnym momencie. – Poeta Jerzyna! – odrzekłem cicho. – Jezus, Maria, to ten subtelny liryk?! – niemal wykrzyknęła. Zbyszek faktycznie wtedy za kołnierz nie wylewał, a dzień wcześniej widocznie nieźle popił. Wyglądał bardzo „wczorajszo”.

Później niemal regularnie widywaliśmy się w wielkim gmachu MAW-owskim przy al. Stanów Zjednoczonych 53 w Warszawie. Był początek lat 90., pracowałem tam w „Gazecie Młodych”, dojeżdżając do redakcji raz, dwa w tygodniu z Białegostoku (180 km). Zbyszek zaś miał zatrudnienie w redakcji debiutów poetyckich MAW, kierowanej przez Jurka Leszina. Dzieliły nas trzy lub cztery pietra ogromnego biurowca.

cdn.